Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 18. Poznań dnia 30. Lipca. 1838.

Literatura zagraniczna.

Wachler na katedrze.

Wrocław, w samym naroźniku słowiańszczyzny położony, był od dawnych czasów nie tylko ważnym punktem handlowym z Niemcami, ale nadto wspólnem oświaty tych dwóch ludów ogniskiem. Z tego to miejsca zachodnia oświata rozsuwała na wschód swe dobroczynne promienie, łącząc nierozerwanym węzłem braterstwa ucywilizowane narody. Wpływ ten powiększył się jeszcze od chwili przeniesienia uniwersytetu z Frankfurtu nad Odrą do Wrocławia. Odtąd Polacy zaniechawszy Hali, najbardziéj cisnęli się do Wrocławia, i w gronie akademickiéj młodzieży, celniejsze zajmowali miejsce; nie jeden może z czytelników Tygodnika, mile sobie jeszcze te błogie chwile młodości przypomina, kiedy w najpiękniejszéj wieku swego sile, umilonéj wdziękami czarującéj imaginacyi, oddychał innem, poetyckiem życiem — nim się na zawsze zagrzebał w zimnéj prozie, nim został wyrafinowanym filistrem; miło im będzie zapewne wraz ze mną odżywić pamięć jednego z najsławniejszych akademii nadodrzańskiéj nauczycieli, professora Wachlera, i uronić łezkę wdzięczności nad stratą zgasłego przed trzema miesiącami męża.

Dar wymowy tak rzadki pomiędzy nauczycielami niemieckich uniwersytetów, zdobił szczególniéj Wachlera, i téj to zalecie winien on był sławę znakomitego professora, dla niéj tak był lubiony od polskiéj młodzieży. Uczeni niemieccy w tem się od francuzkich rożnią, że, im więcéj posiadają nauki, tem mniéj starania o powierzchowność; im sławniejsi, tem bardziéj zaniedbani. Toż samo i o Wachlerze powiedzieć można. Wszedłszy do izby, w któréj on głębokie stwarzał pomysły i niezmiernie ważne dla nauk wydobywał skarby; rzekłbyś, że się znajdujesz, u jednego z najlichszych miasta mieszkańców. Ubiór domowy: szlafrok szary, długiem używaniem wytarty; cała powierzchowność i sprzęty okazywały skromną mierność i zaniedbanie. Mało co wytworniejszy był ubiór jego zwyczajny. Tak niepozorny i wiekiem nachylony starzec, z twarzą pełną, ale bez wyrazu, podstrzyżonemi krótko siwemi włosami, wypukłemi oczyma, skoro tylko na katedrze stanął, na którą z skwapliwym dążył pośpiechem, i powiodł okiem po ogromnéj sali zgromadzonych przed sobą słuchaczów, wyprostował się jak silny do walki zapaśnik; ożywiły się jego rysy twarzy, atletyczna postać ciała imponującą przybrała postawę — i silnym organem przerwał panującą na około ciszę. Coraz bardziéj wzmagał się głos jego, a uniesiony ważnością przedmiotu i zapałem, zdawał się być niekiedy owym wieszczem natchnionym, co z woli bogów wyższe zdumiałemu ludowi ogłasza wyroki, lub też owym silnym orkanem, grzmiącym straszliwie po dodońskim lesie.

Tok mowy jednostajny, ale silny i wyrazisty, dyalekt saski, częsta zamiana mocnych na słabe spółgłoski: szczególniéj głoska r warczała jak pocisk potężnym rzutem w drzewie utkwiony i drzący. Mimo jednostajności głosu potrafił on samą dzielnością mowy, utrzymać ciągłą uwagę słuchaczów. Niekiedy zapał ustępował miejsca dowcipowi, i wtedy objawiała się owa sarkastyczna cierpkość w przegryzaniu lichych autorów, lub dosadna cięłość, nicująca tak uszczypliwie zdrożności i przywary ludzkie. Ale najdotkliwiéj chłostał Wachler pisarzów, podkopujących zasady moralności, targających się na wszystko, co człowiekowi drogiem i świętem być powinno, jak np. na Kotzebuego, na którym ostrość krytyki posuwał aż do oburzenia i pogardy. Umiał także Wachler malować tragiczne życia ludzkiego sceny, umiał poruszać serca: a kiedy, wykładając rewolucyą francuzką, przyszedł do najważniéjszéj chwili, w któréj tyle głów spada pod toporem gilotyny, tak potrafił wskroś przerazić serca słuchaczów, że wszyscy z zatrzymanym oddechem i wlepionemi w mowcę oczyma, czekali końca krwawéj katastrofy, a po

uderzeniu odwracali się z zgrozą od okropnego obrazu.

Oczy wypukłe świadczyły o nadzwyczajnéj Wachlera pamięci: mówiąc wolno i pewno bez żadnéj przerwy i rzadko kiedy zazierając do skryptów, które zawsze przed nim na katedrze leżały, przytaczał z pamięci mnogie fakta zdarzeń historycznych, tytuły dzieł różnych autorów. W zasadach stały i nieugięty nie uwodził się widokami sławy lub osobistych korzyści, nie dbał o względy gminu i z równą śmiałością jako historyk karcił polityczne grzechy, zapisane dla ohydy w czarnéj dziejów księdze, jak swawolą rozhukanéj naówczas i z pod wszelkich praw wyłamującéj się akademickiéj młodzieży. Charakter Wachlera był otwarty i szlachetny, może zbyt cierpki, i dla tego zapewne mniéj się podobał płochéj młodzieży, zaślepionéj akademickiego życia powabem i sarkającéj nieraz na surową cnotę niepobłażającego mędrca. Tę krótką wzmiankę o Wachlerze, skreślił z rozrzewnionem sercem wdzięczny jego uczeń, który nań zapatrywał się jako na najdoskonalszy ideał w nauczycielskim zawodzie, jego się przykładem do cnot i nauk zagrzewał. S.

Literatura krajowa.

P o e z y a.

Potęga myśli.

Myśli! ogniste szczytnych natchnień dziecie,
Wyższéj natury nieśmiertelny kwiecie,
Iskro duszy méj ogniska;
O jakżeś w twoim wysoka polocie,
Wyższaś nad słońca, nad tych światów krocie,
Wyższa nad cudów zjawiska!

Gdzież nie dosięże twa dzielność tajemna?
Granicą twoją nieskończoność ciemna,
Tobą to człowiek znikomy
Podbił tę ziemię, morza upokorzył,
Zuchwałą drogę w powietrzu roztworzył,
I burzom wydarł ich gromy.

Tobą to Kolomb za morza naglony,
Jak gdyby wielkie przeczuł Wasyngtony,
Biegł na burze, śmierć gotowy —
Tobą przesięgał wód nieznanych tonie,
I nim go ujrzał, już eś w jego łonie
Zgadła, stworzyła świat nowy.

Przez ciebie grecki wieszcz zbudował sobie
Ów wielki posąg na Achilla grobie,
Trzydzieści wieków go wspiera;
I gdyby zginął ród Helenów cały,
I nawet dzieje zapomnieć go miały,
Ożyłby w sławie Homera.

Myśli! niezgłębny i bezkresny świecie!
Tyś orlem w mędrcu, tyś burzą w poecie,
Tyś prawdziwém słońcem ziemi.
Ty wszystkie ludy, wszystkie wieki bratasz,
Jak łuk ognisty noc czasów przelatasz,
I łączysz przeszłe z przyszłemi.

Wzbił się Kopernik nad zakres spojrzenia,
Zdziera zasłonę z tajemnic stworzenia,
I światów porządek kryśli.
Możeż być większy tryumf dla człowieka,
Boga swojego układów docieka,
I co Bóg myślał, to myśli.

I któż więc jeszcze tak zuchwałym będzie,
By cię chciał w twoim wstrzymywać zapędzie,
Ciebie swemi gromić kary?
Czyż go niezrazi téj walki daremność,
W któréj uległa tylowieczna ciemność
I wszystkie dotąd Omary?

Łamie się stałość i hart cnoty kruszy,
Tysiąckroć padła sama wielkość duszy,
Zgiął się człowiek, świat ukorzył;
Ale ty myśli ugiąć się nie zdolna,
Tyś jedna zawsze tak czysta i wolna,
Jak kiedy Bóg cię utworzył.

M.

Przejście młodości.

Uciekacie, dni zasiewu!
Jak odgłos słowika śpiewu,
Co przez chwile zachwyceniem
Zbolałą duszę czaruje,
Co ją rozdziela z cierpieniem,
Lecz zbyt szybko ulatuje.

Uciekacie dni zasiewu!
Jako gnana od powiewu
Chmurka, na zachodniéj stronie;
Nigdy już nie wróci ona,
Na wód kryształowem łonie,
Na wieki dla oka skona.

Żegnam was o dni zasiewu!
Jak chmurkę, jak odgłos śpiewu;
Czemuż wasz urok nie dłuższy!
Gdy słowik z wiosną powróci,
Śpiew jego powie méj duszy:
»Nie czekaj, młodość nie wróci!«

K. Z.

Anusia.

Kilka fantastycznych rysów na tle dziejowém osnutych.

(Skrócone.)

I.

Na zamku starosty wielkie krzątanie — to jakaś biesiada będzie. Ot, już i goście się zjeżdżają i pełno kolas i kolebek srebrem kutych, wewnątrz bogato lamowanych. Na wszystkiem odbija obok polskiéj wspaniałości kastylska wytworność i francuzka misterność; boć to miłościwy pan z hiszpańska się stroi, a królowa pani wiele francuzkich zwyczajów do dworu wniosła. Często między ogromnemi karocami panów polskich, mignie dwukolna kolaska, jaką pan wojewodzic objeżdżając cudze kraje, widział w Neapolu. Często błyśnie haftowana hiszpańskim krojem liberya jakiéj pani kasztelanowéj, między wąsatemi ukraińcami w kurcie i szerokich szarawarach, których wielka barania czapka powagą swoją zdaje się urągać kapelusikom i piórom zagranicznym, a trzask bicza, kiedy z konia powożąc, wjeżdżają na dziedziniec, rozpędza całą tę lekkostrojną hałastrę.

I któż zdoła wyliczyć wszystkie imiona i tytuły, dostojeństwa i godności przybyłych? A przecież jeśli okiem znawcy spojrzysz na te tłumy służby, na tę mieszaninę ubiorów i barw; jeśliś wczytany w ten symboliczny alfabet z tylu tysiąca liter złożony, tworzący jednę tylko myśl, jedno tylko słowo: »Szlachta« — jeśli znasz ten język figur i kolorów — to ci już wiadome nie tylko imię gościa i jego tytuły, ale cała genealogia jego, całe nawet dzieje twojego kraju; bo one są tylko dziejami téj jednéj wielkiéj rodziny.

Ale pójdźmy teraz z podwórza za przybyłymi do zamku. Pan marszałek Starościński przyjmuje ich w izbie gościnnéj. Pan marszałek jest to stary szlachcic w służbie u pana starosty i wielce od niego szacowany. Szlachcic polski nie wstydzi się ani roli, ani służby. Tytułem szukania opieki możniejszych wchodzi w dom pański, piastuje urzędy dworskie, z czasem, jeśli zasługa i zdolności zjednają mu łaskę, za staraniem dostojnego opiekuna, zostaje woźnym przy sądach grodzkich, albo nawet komornikiem. Ale czyż to zła służba i u pana starosty? Dowodem tego pan marszałek.

Jego prapradziad jeszcze, był marszałkiem u prapradziada starosty. Za młodu naprzód towarzysz dziecinnych lat i zabaw młodego starościca, razem z nim odbierał wychowanie u księży Jezuitów, razem z nim wyprawiał psoty, a często i plagi za panicza odbierał. W jego chorągwi służył w wojnie moskiewskiéj za nieboszczyka króla, jego stronę zawsze trzymał na sejmiku (świadkiem tego szrama nad prawem okiem i kawałek uciętego lewego ucha). Pan starosta też po śmierci ojca, umiejąc wynagradzać zasługi towarzysza od dzieciństwa, mianował go tytułem następstwa, marszałkiem. Od czasów króla Zygmunta każdy poprzednik pana starosty miał syna starościca, każdy poprzednik pana marszałka, miał syna marszałkowicza. Jeszcze za młodu mawiał pan starosta dzisiejszy do pana marszałka dzisiejszego:

»Twój Staś będzie szóstą koleją marszałkiem u mojego Syna.«

A pan marszałek dzisiejszy odpowiadał:

»Łaska Jaśnie Wielmożnego Pana! żeby tylko Pan Bóg raczył dać szczęśliwe rozwiązanie Jaśnie Wielmożnéj Pani, o co my słudzy błagamy go dniem i nocą.«

Ale losy zawistne szczęściu ludzkiemu, przerwały półtorawiekowy węzeł dwóch szlacheckich rodzin. Pani starościna powiła córkę, kiedy pięcioletni marszałkowicz, chrzestnik pana starosty, przezywany żartami marszałkiem, był już uważany jako przyszły towarzysz przyszłego starościca. Rachuba się zmyliła; a kiedy pan starosta stracił nadzieję mieć kiedykolwiek syna, na posępném czole smutek zawczesne wyrył zmarszczki, i podgoloną głowę zawczesną pobielił siwizną. Pani starościna dręczona ciągłemi wyrzutami męża, nie odchowawszy nawet młodéj Anusi, umarła. Odtąd znikła na zawsze wesołość z domu.

To pierwszy raz od śmierci nieboszczki żony, jak pan starosta daje biesiadę. Dotąd jedyném jego zatrudnieniem były łowy i wychowanie córki, do któréj dopiero po śmierci żony nabrał przywiązania. Ani razu nie postał na zamku królewskim, ani razu w obozie, rzadko go widziano w sąsiedztwie. Dopiero w czasie buntów kozackich, kiedy niebezpiecznem było w domu pozostać, wyprawił córkę do krewnych pod Halicz, a sam zgromadziwszy swoich, ruszył do obozu hetmana. Młody Stanisław towarzyszył mu w drodze, wypełniał jak najściśléj wszystkie jego zlecenia, zawoził listy do panny; słowem: w każdym razie umiał zyskiwać względy pana, a jeszcze więcéj młodéj Anusi, na któréj skinienie gotów był w piekło się rzucić.

Takie przywiązanie młodego Stanisława do starościanki, cieszyło ojca, i nieraz mrugnąwszy na marszałka, rzekł z cicha z westchnieniem:

»Gdyby Anusia była chłopcem, miałaby z twojego Stasia prawdziwego przyjaciela i obrońcę — to walny chłopak!«

A marszałek odpowiadał:

»Wola Boża! ale mój Staś i tak może być marszałkiem dworu córki Jaśnie Wielmożnego Pana, skoro ją za mąż wydamy;« (było to zwyczajem pana marszałka we wszystkich czynnościach dokładać: »My« to jest »ja i pan starosta.« A pan starosta mu też przebaczał, jako dawnemu towarzyszowi i staremu słudze.)

Otóż zostawiłem pana marszałka starościńskiego, jak się zatrudniał przyjmowaniem dostojnych gości.

Pan marszałek pomimo tego, że zatrudniony to przyjmowaniem gości, to wydawaniem rozkazów służbie i nadwornym kozakom, ma jakiś dziwny wyraz twarzy dzisiejszéj uroczystości nie odpowiedni. Jego brwi nieco w górę podniesione, chcą sztucznie rozprężyć mimowolnie marszczące się czoło; usta przymuszonym i dwuznacznym powleczone uśmiechem, za każdem słowem stulające się nazad, oko mdłe, nieożywione tym właściwym mu blaskiem zadowolnienia, — nie pojmuję, co panu marszałkowi się stało. Jednak śród tego gwaru rozmownego, pokłonów i witania przybyłych, nikt na to nie daje uwagi. Za nadto każdy zatrudniony sobą: albo w myśli połykał przysmaczki, stare wina i miody gospodarza, albo za dzikiem gonił po lesie, którego dalibóg! przed tygodniem wytropił, a dzisiaj dla zaprosin porzucić musiał, i — o zgrozo! łowy bez niego się odbędą.

I jakaż to uroczystość zgromadza tyle osób w miejscu, gdzie od lat wielu nie słyszano innych rozmów jak pana starosty z panem marszałkiem, panny Anny z młodym Stanisławem, starego ogrodnika ze starą klucznicą, a niedawno tylko wiatry przyniosły z pod ogrodowych murów do sypialni panny głośniejsze słowa i poszczęk szabel. W ówczas młoda dziewica w bieli stanęła przed walczącymi, nakazała palcem milczenie i znikła.

I spotkano w zamkowéj sieni Wańka dowódzcę kozaków starościńskich, jak z przyciętemi wargami, ściśnioną dłonią i szyderczym wzrokiem kiedy niekiedy spojrzał za odchodzącym ku furcie młodzieńcem, którego usta uśmiech zadowolnienia powlekał, a w błyszczących łzą oczach, malowały się razem boleść, rezygnacja i nadzieja.

II.

»A więc już wszystko stracone? moja Zosiu,« rzekła młoda dziewica, i zalała się łzami. Usiadła przy oknie, głowę wsparła na dłoni, a błędnemi oczyma wodziła po ogrodzie. Była taka cisza, jakby obok uśpionéj wieczorem przyrody, i ludzie spali.

A przecież na drugiéj stronie zamku w wielkiéj izbie portretami przodków ubranéj, siedziało kilkadziesiąt osób, ale ani brzęk kieliszków, ani ich ożywiona rozmowa, nie śmiała przedrzeć się aż do sypialni dziewicy, i nie jéj spokoju, ale jéj dumania przerywać.

I tylko śród ciemności nocy długie pasy światła przeglądając oknami, kładły się po ziemi, drzewach i budynkach — i tylko kiedy niekiedy na tych tłach jasnych malowały się cienie różnych kształtów.

Oni się tam zapewne weselą! — a ja? — i znów niepodobna było dokończyć, bo łzy stłumiły wyrazy.

Zosia chodziła zadumana po sypialni panny, zdawała się nawet nie uważać jéj smutku; po jéj małéj główce, jakieś się wielkie plany roiły. Czasem z ust nic nieznaczące wychodziły wyrazy —, to położyła palec na ustach i stanęła zamyślona —, to zatarłszy ręce wyskoczyła szybciéj — i znów stanęła. Potém z jakąś oznaką pewności zbliżyła się do okna, przyklękła, objęła rękami kolana Anusi i zawołała z czułością: »Nie płacz, starościanko! ty go jeszcze zobaczysz!«

Anusia spojrzała na dziewczynę, podniosła ją, przytuliła do siebie i pocałowała w czoło. Zosi łzy w oczach stanęły, i po krótkiéj chwili powtorzyła: »Nie płacz, starościanko! ty go jeszcze zobaczysz!«

Ale Anusia nic na to nie odpowiedziała, tylko podumała chwilę, a potem rzekła: »Pamiętasz w ówczas w wieczór, kiedy mię żegnał, wskazał tylko ot tam! — brzęknął szablą, pocałował mię i zniknął — a ja od téj chwili tylko patrzę w tę stronę, czyli go nie ujrzę. O, kiedy przy tém pożegnaniu po raz pierwszy powiedział, że mię kocha, ja niema i drząca nie mogąc słowa przemówić, pozbawiona sił prawie, wpadłam w jego objęcie. I nie widziałam, nie słyszałam i nie czułam nic, jak jego pocałunek. — Nie wiem, jak długo to omamienie trwało, wiem tylko . . . . .« — »Cóż panna wiesz?« zapytała Zosia z uśmiechem i spuszczonemi oczami.

Śliczne lica starościanki tak żywy pokrył rumieniec, jak gdyby z każdéj jagody krew trysnąć miała. Jakieś bolesne nieznane przeczucie opanowało jéj serce i wyjąkała płacząc: »O ja nieszczęśliwa!«

Zosia wlepiła przenikliwe oko w starościankę, zadumała chwilę, przyłożyła rękę do czoła, jakby coś przypomnieć, jakby coś myślą przebiegnąć chciała, jakiś przeciąg czasu, nie dawny zapewne — i . . . i . . . jakieś domysły zaczęły się w niéj mięszać, a z różnych porównań, przypomnień i podejrzeń, urosł jeden

wniosek, jeden domysł, a może już i pewnik; bo Zosia chociaż była młodą dziewczyną, ale dowcip i przebiegłość nie są zawsze zaletami wieku.

III.

Dwa dni temu, jak się odbyły zaręczyny panny starościanki z kasztelanicem. Kobiety się już rozjeżdżają, — młodzież na koniach się ściga, — starzy piją i rozprawiają. Greckie i tokajskie wina, stare miody koweńskie krążą bezustannie. Rozmowa z początku wlecze się powoli, coraz więcéj ożywiona, głośniejsza, wreszcie burzliwa; wznosi się, wre, huczy, jak kielichy przybywają. Przy kobietach szlachta skromniejsza, ale teraz może sobie pozwolić. W tym stujęzycznym gwarliwym rozhoworze, pomięszane polityka, gospodarstwo, łowy i lat młodych wspomnienia.

Panna starościanka znużona, cierpiąca, siedzi samotnie w swojéj komnacie; nie ma przy niéj służebnéj. Pomimo, że czuje przywiązanie Zosi, nie wiem dla czego od ostatniéj rozmowy więcéj jéj unika. Teraz nawet cieszy się, że jest samą, pozwala łzom płynąć, to jéj robi ulgę. Nie sprzeciwiała się ojcu, gdy jéj przedstawiał przyszłego męża; przypomina sobie, że go czasem widywała między młodzieżą w sąsiedztwie. Z resztą wszystko to jéj równo, ten czy ów będzie jéj mężem; wie tylko, że to nie Stanisław.

Usiadła na łożu, głowa jéj zwisła, łzy nie przestają płynąć. Po chwili wstała, otarła oczy, czy nabrała rezygnacyj? bo lekki uśmiech przemknął się po bladych wargach, postąpiła kilka kroków ku drzwiom — słucha. Na dole, na dziedzińcu już cisza. Znużeni dzienną zabawą pewnie się spać pokładli. Szczęśliwi! ich zabawa nuży, po zabawie idą na spoczynek, i budzą się, aby się bawić.

Ona idzie ku drzwiom, chce koniecznie w téj chwili mówić z ojcem: ma mu jakąś tajemnicę odkryć, tajemnicę, którą waży z życiem zarówno. Postępuje więc śmiało — podnosi rękę ku klamce . . . . coś błysło na dworze . . . . zadrzała — nie ma siły iść daléj — za dotknięciem zimnego mosiądzu dreszcz ją przejmuje — nogi się pod nią chwieją — wspiera się na łokciu, — wtém drzwi się otwierają, na pół popchnięta, na pół zlękniona, pada na ziemię.

Przybyły posłyszawszy łoskot, wstrzymuje się w progu, po chwili, zwolna wsuwa głowę we drzwi — zagląda — coś białego leży na ziemi. — To ona! pomyślał sobie, tu nikt więcéj nie może być o téj porze — ale w jakimże to stanie? . . . . zemdlona . . . . tém lepiéj! . . . . z resztą pocóżbym ją trzeźwił? . . . . jakby się namówić nie dała? . . . . a więc daléj!

Tak rozważając podnosi ją z ziemi i chce wychodzić, gdy w tém we drzwiach stanęła Zosia. — »Dla Boga! nie kazałam wam tak wcześnie przychodzić!« rzekła z cicha. — »To nie szkodzi! we dworze już śpią wszyscy jak zabici — nie ma czasu do stracenia, nim wytrzeźwią, my już będziem na miejscu.« — I postąpił ku drzwiom, chcąc wyjść; ale Zosia mu zabiegła. »Na wszystkich świętych zaklinam was! zaczekajcie! trzeba ją wprzód ocucić, ona o niczem nie wie, a wyście mię uprzedzili?« — I pobiegła do szafki po trzeźwiące krople, ale przybyły zwinął się szybko, i na palcach zbiegł cichaczem ze schodów. Zosia go goniła z flaszeczką w ręku i wołała po cichu: »Zaczekajcież! zaczekajcież!« ale on, czy nie słyszał, czy nie rozumiał, pędził przez ogród, — tam furta już otwarta — wskoczył na konia, krzyknął: »Dobra noc Ci Zosiu!« i jak strzała leciał gościńcem.

Zosia wybiegła z krzykiem, ale nic nie pomogło; jeździec się przyczaił do konia, dziewicę na kolanach trzymał, a wiatr cichy rozdmuchiwał jasne włosy, po białém łonie głaskał, i falisto lekką unosił zasłonę.

Pośród nocy na rozległém błoniu wyglądał jak duch złośliwy unoszący dla nieba przeznaczoną duszę. Odziany kurtą, w wysokiéj baraniéj czapce, na niéj czerwieni się kita, twarz śniada, oczy bure, błyszczące jak ogniki na smętarzu, — gęste i szorstkie brwi związane z sobą, wąs kruczy, zawiesisty, broda lekko podstrzyżona, i wysoka kulbaka, któréj się ledwo dotykał: oto obraz owego człowieka. I któż w nim nie pozna syna Ukrajny?

Jakże w jego objęciach wydawała się ta postać dziewicza, blada, z tak łagodnym i spokojnym wyrazem twarzy, jakby ją już nic nie wiązało do ziemi. A przecież na téj ziemi jéj ojciec, jéj kochanek.

Cóż Zosia robi? ona przed furtą, nie pobiegła daléj, czuje, że konia nie doścignie, więc stoi i płacze. Cóż teraz pocznie? — Nie podobna wracać do dworu, bo po co? — Trzeba wszystko zostawić, nie czas zawiniątko przysposabiać. Zosia poznaje, że źle się stało.

I czekała długo siedząc na ziemi, aż sen ją zmorzył, nie spała bowiem kilka nocy przy tak wielkiéj uroczystości. Ze świtem obudził ją wielki hałas, ogląda się, przypomina, gdzie jest, — a gdy usłyszała piorunujący głos starosty: »Gdzie Anusia?« rzuciła się do nóg i wszystko wyznała.

Starosta wpadł w wściekłość, wszystko, co żyje wsiadło na koń; ale jakby kamień w wodę wrzucił, ani panny, ani Stanisława, ani kozaka. Starosta włosy

siwe targał, przysięgał, że córkę choćby z piekła wydobędzie, przysięgał, że się zemści i w tydzień pojechał do Warszawy, a sąsiadów w różne porozsyłał strony. Zosia poszła do lochu, a klucz oddano ogrodnikowi; pan marszałek stracił widać zaufanie. I nie mówił ani słowa, był blady jak mur; a nazajutrz chciał dziękować panu za służbę, ale go starosta zatrzymał.

(Dokończenie nastąpi.)

Filologia, filozofia i matematyka, *uważane jako zasadnicze umiejętności naukowego wychowania.*

(Wyimki z ważnéj rozprawy pana L.)

(Ciąg dalszy.)

Filologia, rozumiejąc pod nią naukę języków starożytnych, greckiego i łacińskiego, stanowiła w nowym i średnim wieku zasadę nie tylko wyższego ukształcenia, ale nawet każdéj szkolnéj nauki. Początek téj zasady bardzo był naturalny; albowiem w tych dwóch językach starożytności klassycznéj, wszystkie złożone były skarby nauk umiejętności i sztuk pięknych, jakie wieki starożytne późniejszym, z powodu politycznych zjawień w grubéj niewiadomości i dzikości zagrzęzłym, w puściźnie przekazały. Z koleją czasu wzmogło się oświecenie i prześwietliło blask nauk starożytnych. Nowe powstały odkrycia, nowe wzrosły nauki, starym całe nieznane, utworzyła się oddzielna nowoczesna umiejętność, i zdaje się, że pod takiemi okolicznościami, stała się zbyteczną nauka starożytnych języków. Jeżeliby o formalne tylko chodziło wykształcenie umysłowe, tedy takowy w daleko wyższy sposób nadaje matematyka; a w końcu gdyby dla zmiany, innego na ten cel potrzeba przedmiotu naukowego, stósowniejszą i korzystniejszą byłaby nauka nowszych języków, te same formalne przynosząca korzyści.

Wiadomo, jak w nowszych czasach i obecnie jeszcze przedmiot ten uczonéj publiczności zajmuje uwagę. Organizacya szkół pod tym względem już znacznéj doznała zmiany.

W Paryżu jeszcze do rewolucyi lipcowéj na katedrach wyższych wydziałów nauk, professorowie w języku łacińskim przedmiot uczniom wykładali. W Polszcze i Niemczech dopiero od niewielu lat wyparto język łaciński jako naukowy.

Wieków zatem potrzeba było na to, żeby się przekonać, iż uczący się nigdy stósownych do zdatności swojéj postępów robić nie może, jeżeli z dwoma razem przedmiotami będzie miał do walczenia, to jest, z przedmiotem naukowym i językiem obcym; że przeto młodzież w ojczystym języku nauki odbierać powinna. Za tą główną reformą pójdzie zapewnie i druga, to jest, nieuważania języków łacińskiego i greckiego, za najgłówniejszy przedmiot szkolnego wychowania. Nowe języki podniosły nową oświatę, a długa filologów praca, pisma wszystkie starożytne w dokładne przelała tłómaczenia; dla tego znajomość języków klassycznych, już téj ważności nie posiada, aby się nabywała z uszczerbkiem wiadomości nauk przyrodzonych, matematycznych, historyi i litteratury nowszych wieków, więcéj i bezpośrednio na ukształcenie młodzi wpływających.

Lecz ponieważ i najlepsze tłómaczenie nigdy nie dogoni oryginału, tam zwłaszcza, gdzie nie o materyały, ale o rzecz i formę razem chodzi, jak w poezyi i retoryce, których najpiękniejsze wzory, młoda, kwitnąca odległych wieków wyobraźnia wydała; ponieważ trzecia część historyi, filozofii i sztuk pięknych w starożytności zaległa, a nowoczesne stósunki polityczne i prawne z polityki i praw Greków i Rzymian się rozwinęły; ponieważ nakoniec i innych nauk, choć słabe początki do starożytności się odnoszą: nigdy nauka i sztuka nowoczesna, o tyle się od klassycznéj nie wyzwolą, aby się bez wiadomości języków klassycznych obyły. Trwać zatem póty będzie potrzeba filologicznego ukształcenia, póki się nie zatrą prawidła dobrego smaku, i chęć czerpania nauk z czystego nie naśladowanego ich źródła. Ta jednak potrzeba więcéj na uniwersytetach niż w szkołach przemaga.

Techniczne użycie filologii natrafiamy dopiero w czasach szkoły Alexandryjskiéj. Eratostenes posiadający nadzwyczajny skarb erudycyi, znający dokładnie wszystkie poprzednie systemata filozoficzne, a nie będąc sam filozofem, nazywał się pierwszy filologiem, dla rozróżnienia uczoności od filozofii. Ta nazwa pod temi okolicznościami odniesiona do pierwotnego znaczenia wyrazu l o g o s, naprowadziła P. Boekha, najbieglejszego z żyjących filologów, do ustanowienia najwłaściwszéj i najogólniejszéj definicyi filologicznéj umiejętności: f i l o l o g i a j e s t p o n o w i e n i e m p o j ę c i a r z e c z y j u ż p o j ę t y c h. Filologia zatém nowych pojęć nie stwarza, lecz wszelkie obce pojęcia umysłowe, do jakiéjkolwiek nauki, sztuki lub epoki należne, tak pojąć się stara, jak pierwiastkowo pojętemi były; jak filozofia od wyobrażeń do wyrazów, tak filologia przeciwnie od wyrazów do wyobrażeń przechodzi. Równoległe filologii znaczenie jest

z historyą: ta pojmuje dzieje czynów ludzkich, tamta rozumu; obie ku dokładnemu pojęciu przedmiotu, ogromnych potrzebują zasobów pomocniczych, wielkiéj erudycyi; z tysiąców okoliczności zgłębić muszą ducha czasu, narodu, charakter osób, aby nie spaczały czynów i myśli obcych, na miejsce istotnych, swoich własnych nie podkładały wyobrażeń; tam tylko im twórczo występować z domysłami pozwolono, gdzie pustosząca ręka czasu przerwy porobiła, wytarła ślad dziejów i pisma. Jakkolwiek na pozór wydaje się być podrzędném takie stanowisko umiejętności, ma przecież filologia wysokie znaczenie, że zachowuje od zatraty wszystkie płody rozumu ludzkiego, podając środki do ich zrozumienia, odłączając fałsz od prawdy, wypełniając fragmenta. Ponieważ daléj litteratura każdego narodu jest plastycznym odciskiem wszystkich jego umysłowych usposobień, wykrywa stopień, oświaty, obeznawa z urządzeniami kraju i domu; filologia zatem pojmując litteraturę narodu, pojmuje jego całe publiczne i prywatne życie. Ona w końcu zgłębia język, i przenika aż do pierwszych źródeł pojęć ludzkich.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

K r y t y k a.

Życie i przypadki Faustyna Felixa na Dodoszach Dodosińskiego przez nieznajomego Autora, wydane z rękopismu w Wrocławiu, 1838.

Nim się jeszcze zjawił Faustynek na świecie, już różne o nim rozchodziły się wieści: mówiono że to będzie nadzwyczajne zjawisko w literaturze naszéj: trzy kartki Faustynka więcéj ważą, niż trzy tomy Teneczyńskiego; drudzy głosili przeciwnie: nie wierzcie łatwowierni, to szykana na szlachtę; inni znowu: to bicz na magnatów. Tym czasem gdy się Faustynek ukazał w swéj istotnéj postaci, zdaje nam się, że nie uiścił powziętych o sobie nadziei, że nie jest ani tém, ani owém. Jest to, krótko mówiąc, lekki nibyto narodowo-obyczajowy romansik, słabo w jędnę sklejony całość. Nie znajdziesz tu ani silnie skreślonych charakterów, ani dowcipu w wyśmiewaniu wad narodowych; lecz tylko naprędce rzucony obraz życia polskiéj szlachty. Autor nie zatrzymuje się nigdzie nad żadnym przedmiotem, aby go zgłębić i wyczerpnąć, dotknąwszy lekko spieszy daléj, aby nową czytelnikowi wyprowadzić sytuacją; rzadko błyśnie dowcipu iskierka, rzadziéj jeszcze poetycznego talentu płomień, któremi dzieła tego rodzaju zalecać się zwykły. Lekki towar, tandetowy, efemeryczny, który dziś kupujemy dla zabawki, a jutro w kąt rzucamy. Jednak wyznać trzeba, że się czyta gładko i zabawić może zwyczajnych czytelników, szukających samej tylko rozrywki. Przypadki Faustynka tak się zaczynają:

S z k o ł a.

»Na farnym zegarze biła godzina pierwsza po połudnîu; miasto było jak wymiecione, nikogo na ulicy; bo jedni dla upału nie śmieli wychodzić z domów, drudzy spoczywali po obiedzie, opędzając się w drzymaniu natarczywym muchom; a studenci, najgłówniejsi mieszkańcy Łowicza, nie wybierali się do szkoły, bo mieli jeszcze całą godzinę swobodnego próżnowania przed sobą. Na korytarzu szkolnym, w którym się przed godziną tak huczne rozlegały okrzyki, było teraz tak cicho, że echo sklepienia powtarzało sapanie śpiącego na ławie kalafaktora, a w izbie szkolnéj jeszcze ciszéj, gdzie tylko uwijające się po oknach osy i muchy, jednostajny brzęk wydawały. Była w końcu korytarza długa sklepiona sala, w któréj tylko u góry widziano ślady pierwotnego bielenia, niżéj zaś w równi z ławkami, mieszały się rozmaite kolory i cienie to wylanego atramentu, to rysunków lubryką wykonanych, to odcisków od głów, codzień w jedném miejscu o ścianę opieranych; między dwoma rzędami ławek niegdyś czarnych, a przez niezliczone snycerstwa i rzeźby w srokate zamienionych, było miejsce próżne, prowadzące do katedry naprzeciw drzwi umieszczonéj, do owego tronu, z którego Pater Professor wyrocznie naukowe, wyroki dyscyplinarne, damna i laudesy, jako niegdy Jowisz z Olimpu, na zalęknionych studentów rozrzucał. Na lewo przy piecu stała osobna ławka, a nad nią nieszczęśliwy napis: *scamnum asinorum*, a za nią na zapiecku stołek kalafaktora, nad nim groźne narzędzia, które leniwym i tępym rozum napędzały do głowy, płaska linia do uderzania po dłoni, i łokciowy, twardy kańczug: insignia nieugiętego kalafaktora.

Ten urząd piastował teraz młodzieniec dwudziestoletni, który ze studenta infimy do retoryki na tę godność był wyniesiony; dochodził on miary drabantów, których Król August III. z Saxonii sprowadzał; szeroki w plecach, miał barki do góry wzniesione, tak, iż cała jego postać przy spuszczonych rękach podobną była do słupów bramowych. Twarz miał rumianą, usta szerokie, jakby umyślnie do głupowatego uśmiechu. Nad pulchnemi wargami unosił się nos duży, okrągły i małe piwne oczy; niskie czoło wieńczyła ruda czupryna, pod linią równiuteńko ostrzyżona. Obywał się odzieżą, którą po bogatszych studentach dodzierał: teraz miał właśnie na sobie żupanik do kolan tylko, a rękawy do łokci sięgające, przepasany krajką.«

Oto jest Faustynek Dodosiński, bohater naszego romansu, który występując w towarzystwie Pana Wacława starościca, wszędzie błazeńską gra rolę i wszędzie wprawo i wlewo popychany, sam nie wie, czego chce, wałęsa się jak obłąkany.

Na początku opisuje autor zwadę pomiędzy uczniami klassy *Pars romana* i *Pars graeca*, z przyczyny dość nienaturalnéj: która strona z nich pilniejsza? Przychodzi do bijatyki w pałcaty, a w reście do pięści i kułaków; rozruch i krzyk sprowadza Xiędza Professora, który znalazłszy drzwi zamknięte, wybić je kazał. Tak niespodziewane zjawienie się Illustrissima i groźne *Quos ego!* rozbroiło natychmiast zajadłość walczących. Następuje rada professorów, jak karać występnych, których tymczasem uwięziono.

Opis rektora trafny: należał on (mówi autor) do tych dobrodusznych ludzi, co ślepym trafem na przełożonych wychodzą; był on rektorem, ale szkołą nie rządził, która naturalnie sama się rządzić musiała. Każdy nauczyciel uczył jak chciał, bo się też nie miał na kogo oglądać; a rektor mniemany rządy swoje zasadzał na utrzymywaniu budynków w dobrym stanie i przestrzeganiu błahych formalności. Gdy więc zdyszany professor wpadł do jego mieszkania, zerwał się rektor przelękniony z miejsca, zawołał: Dla Boga, czy gore? — Gdzie tam! jeszcze gorzéj! — Jeszcze gorzéj, ach ja nieszczęśliwy! rzekł i rzucił się w krzesło, bo się nogi zbyt mocno pod nim chwiały. — Cała retoryka do góry nogami przewrócona! '— Jakto, czy się sala zapadła? — Jeszcze gorzéj, bo wszyscy studenci... — Przywaleni może... ach dla Boga, wszakem mówił, że sklepienie narysowane, że trzeba będzie... — Ale gdzie tam sklepienie! to stoi, jak stało; lecz studenci wszyscy.... Tu dowiaduje się rektor, że studenci bijąc się, wszystko do góry nogami poprzewracali. Odetchnął i zwoławszy konferencją, radzi z professorami, jak występnych ukarać, ale sam niepewny swego zdania,

jest jak zawsze za łagodnemi środkami, zaleca względy, żeby rodziców dzieci nie obrazić, żeby się tylko gładko wywinąć z tarapaty.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Dowiadujemy się z prywatnéj korrespondencyi, że Bibliotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie uczony J. Muczkowski, pracuje nad Historją tego Uniwersytetu. Biblioteka, Archiwum uniwersyteckie (którego do r. 1816. nie było) i inne zbiory prywatne w rękopismach, dostarczają mu mnóstwo materjałów, tak, iż z tego, co zebrał, mógłby już blisko dwa takie tomy, jak Sołtykowicza, z rzeczy zupełnie nowych ułożyć. Do sporów Jezuitów z Akademią posiada bardzo ciekawe i dotąd nieznane szczegóły. Wiele korzystał w tym względzie z rękopismu historyi Domu Probationis ad S. Barbaram, który mu się z rąk prywatnych wydobyć udało. Układ tego dzieła będzie inszy jak Sołtykowicza, bo ztamtąd nic się o Akademii nie dowiesz, tylko o kilku Professorach. Autor zupełnie z innego stanowiska Historją Akademii uważa, niż ją uważał Radymiński, Sołtykowicz.

U Breitkopfa i Hertla drukuje się: Zbiór Pamiętników o dawnéj Polsce Niemcewicza w 5ciu tomach, 8vo. na pięknym welinowym papierze, z popiersiem Autora na stali rytém. Pierwszy tom już jest pod prassą i wkrótce ukończonym zostanie, całe dzieło wyjdzie jeszcze w tym roku. Cena 45 Złt. pol.

Obraz myśli, na pamiątkę exystencyi mojéj, żonie i dzieciom. W Wilnie w drukarni S. Blumowicza 1838. 112 str. J. Kraszewski w Tyg. Petersburgskim takie o nim daje zdanie: »Pismo filozoficzno-religijne, napisane z wielkim talentem, pełne śmiałych, uderzających pomysłów. Zdaje się być przeznaczone na pokazanie półmędrkom, jak się religia godzi z nauką; gdyż autor pojęcie obojga głębokie dowiódł i umiał w pełnym życia stylu, przesyconym znajomością świata i rzeczy, dowieść potrzeby i prawdy religii. Kwestye socyalne dotknięte tu i owdzie, traktowane są sposobem nowym i trafnym, a punkt widzenia obrany, daleko jest wyższy od wielu pism podobnego przedmiotu. Radzibyśmy w interesie dobra ogólnego, ażeby się to pismo natchnione rozeszło i upowszechniło, i żeby autor odkrył nam swoje nazwisko, którego próżno chcemy się domyślić.«

Nowości francuzkie: Siódmy i ósmy tom dzieła X. d'Abrantes: *Salons de la restauration et du regne de Louis Philippe I.* wyszedł w tych dniach w Paryżu. *) — Dumas napisał nowy romans w dwóch tomach: *la Comtesse de Salisbury*; a *Scribe* wydał zbiór swych powieści p. t. Tonalidas, które, jak pewien dziennik francuzki twierdzi, równie są ładne i zajmujące jak jego komedye. — Sławny Sismondi wyda wkrótce dwa nowe dzieła historyczne, t. j. *Précis de l'histoire des français* w 2 tomach i 21. 22. i 23. tom historyi Francuzów, które ukończą to wielkie dzieło.

*) Księżna Abrantes, małżonka Marszałka Junot, pierwsza dama w Paryżu, wiodąca ród swój z cesarskiéj starożytnéj Komnenów rodziny, a do tego tak wsławiona w całéj Europie autorka, przyszła na końcu do takiéj nędzy, że przed śmiercią nie miała gdzie głowy schronić. Gdy nielitościwi wierzyciele wszystko jéj zabrali, w szpitalu przytułku szukać musiała; ale ogołocona z odzieży i bielizny, przymuszoną była błagać litości swych znajomych, którzy z zebranéj między sobą kollekty opatrzyli ją w potrzebną odzież i oddali jako żebraczkę do szpitala, gdzie nazajutrz umarła.

W Warszawie wyszła »Nauka uprawy koniczyny czerwonéj« przez André, i zeszyt I. półroczny tomu XIV. Sylwana.

Ziemianin Wszerada, poszyt trzeci, zawiera 34 rozmaite artykuły, po większéj części gospodarskiéj i przemysłowéj treści. Z belletrytycznych najważniejsze są: Paryż; Foyer wielkiéj opery, czyli dzisiejsi pisarze; Wilk i pies, bajka podobno A. M.; Mitologia Skandynawów; Kot zalotny; Rys krótki relacyj europejskich z Japonią; Spoczynek królewski za Ludwika XIV. i t. d.

P. Kraszewski ukończył tom pierwszy swéj Archeoteki. Ten jenialny pisarz jest równie wielkim w prozie jak w poezyi. Jego wiersze (o których już donieśliśmy) wyrównywają, jak nas pewien utalentowany literat wileński zapewnia, w wielu względach poezyom dawniejszym Mickiewicza. *)

*) Przyjemnie nam jest, donieść czytelnikom naszym, że i tego znamienitego pisarza między współpracowników naszych policzyć możemy. Ponieważ zdanie tego najpierwszego z krytyków naszych jest ważném, udzielamy wyjątek z listu jego, w którym tak się o Tygodniku naszym wyraża. — »Plan Tygodnika poznańskiego,« mówi Kraszewski, »wielce mi się podoba; takiego pisma dawno w języku polskim życzyliśmy, i czujemy wszyscy jego potrzebę. Pan dowiodłeś wielkiéj znajomości stanu literatury naszéj, zakładając posady Tygodnika, które, jak wróżę, wkrótce dźwigać będą piękną budowę, idącą coraz ku doskonałości. Ja ile mogę, wszelkich sił dołożę, abym kamyk do tego pamiętnika dorzucił. Mych artykułów przedmiotem będzie krajowa dawna literatura, historya, krytyka i t. d. Wreście Pan sam będziesz łaskaw oznaczać rodzaj artykułów, jakich przedewszystkiém żądasz, czy krótkie powieści historyczne, lub wyjątki z większych romansów oryginalnych ujdą w Jego pismie lub też poezye? Mógłbym dla Pana odłożyć z większych mych niedrukowanych jeszcze robót, których wiele leży nieskończonych i niezłożonych w méj tece. Chciej mnie szanowny redaktorze i o tém uwiadomić. Pierwszy artykuł dość obszerny gotuję »O życiu domowém dawnych pisarzy polskich.« Ten artykuł, skoro ukończę, nieczekając odpowiedzi pańskiéj, prześlę.«

J. Kraszewski,
w Omelnie na Wołyniu.«

Tym więcéj uprzejmość dla nas tego pisarza winniśmy cenić, zważając, że wyjąwszy »Tygodnik Petersburski«, do żadnego pisma polskiego ten szanowny autor prac swych nie nadsyła, i że wszelkie artykuły umieszczane w pismach peryodycznych, tylko z tego źródła wypływają.

Red.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*